ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 6 lutego 1909 r. № 6.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

6

Cała stacya wyśmiewała się z jej miłości, a on tak był pochłonięty czemś innem, że nawet niczego się nie domyślał.

Frania zamknęła za nim drzwi na dwa spusty.

— Już się tu jakiś parzygnat dobijał ze trzy razy.

Ze zdziwieniem rozglądał się po własnem mieszkaniu.

— Tiens! Lampa nie kopci, sprzątnięte, poustawiane, cuda prawdziwe!

Rzuciła mu się na szyję z gwałtownością.

— Prawda, że teraz ładniej? Prawda, że i Frania na coś się przyda? A tak się spieszyłam, żeby tylko zdążyć. Jutro upiorę firanki, będzie ślicznie...

— Mów ciszej, na dole wszystko słychać! — szeptał, głaszcząc ją po jasnych, puszystych włosach i całując w oczy.

— Mocniej, panie Józiu, trochę mocniej! Lubię, jak mnie kto całuje tak, że to aż tchu braknie i ciarki chodzą po skórze, strasznie lubię! — szeptała cisnąc się do niego.

— I ja lubię, ale jestem dzisiaj spracowany, jak wół. Odsunął ją dosyć niechętnie.

— Moje biedactwo spracowane, moje złociste klejnoty! — mówiła współczująco, ale dojrzawszy jego zimne i zniecierpliwione oczy, stanęła zmieszana i onieśmielona.

— A może da pan klucz, to sprzątnę ten ostatni pokój...

— Nie potrzeba, daj lepiej herbatę.

Zasiedli przy okrągłym stole do kawalerskiej kolacyi, ale Frania nie mogła usiedzieć na miejscu, zapełniając całe mieszkanie szelestem spódnic, śmiechem i przyciszonym szczebiotem. Ładna była, wysmukła i bardzo zręczna, miała twarz zdumionego ciągle dziecka, szerokie usta i niebieskie, wypukłe oczy o złotych rzęsach, które patrzyły z jakiemś psiem przywiązaniem, gotowe już na każde jego skinienie.

Po herbacie Józio zabrał się do czytania gazety, a ona, zasiadłszy naprzeciw w głębokim fotelu, naprawiała bieliznę.

W mieszkaniu było cicho, ciepło i jasno; wilgotna, zaśnieżona noc zaglądała przez okna, z długim, przeszywającym świstem przelatywały pociągi, aż szyby brzęczały, i drgał płomień lampy, niekiedy głucho zaklekotał pęknięty dzwon stacyjny, a czasami przedzierał się przez podłogę srebrzysty dźwięk wybijanych zwolna godzin.

— Strasznie mi tutaj dobrze! — szepnęła, rozglądając się dokoła z lubością. Mieszkanie było prawdziwie kawalerskie, po odrapanych ścianach spacerowały karaluchy, z okopconego sufitu odpadł tynk, węglowy miał oblepiał szyby, piec stał krzywo, po kątach tuliły się niedobitki wspaniałych mebli, pokryte strzępami obić i pokrowców, stosy zakurzonych gazet leżały na krzesłach, ale nie widziała tego, przejęta uczuciem rozmarzonej radości.

— Siedzimy, jak prawdziwe małżeństwo! Wparła się głębiej w fotel i całującemi spojrzeniami krążyła lękliwie nad jego głową pochyloną. Naraz gdzieś pod niemi huknęły gwałtownie jakieś drzwi, pies zaszczekał i podniósł się przytłumiony gwar jakby śmiechów i krzyków.

Ale gdy przycichło, Frania znowu zaczęła cerować i żałośnie westchnęła.

— Mój Boże, jakie to szczęście mieć swój dom, męża i dzieci!

Spojrzał na nią ukradkiem, łzy wisiały u złotych rzęs, blade usta krzywiły się jakoś boleśnie, a po wynędzniałej twarzy błądziły posępne cienie.

— Nie mogłaś to sobie kogo namówić? — odezwał się żartobliwie.

— Żeby mnie tylko chciał, to poszłabym nawet za złodzieja, nawet za hycla...

— A bo ci to samej źle? Wolnaś, jak ptak, robisz, co chcesz, używasz sobie...

— Jak pies w studni! Wzburzyła się nagle i buchnęła:—Niech cholera zatłucze takie używanie! Tak, wolna jestem i ganiam po świecie z wywieszonym ozorem, tłukę się po wszystkich stacyach, jeżdżę od faceta do faceta, jak ten pies bezpański, którego każdy kopie na dowidzenia i kijem dalej przepędza, póki gdzie pod płotem nie zdechnie! Używam, aż mi to już bokami wyłazi. Pan myśli, że taka, jak ja, to już nic nie czuje, ani rozumie?.. Przecież nie zawsze wytykali mnie palcami... nie zawsze byłam taka ostatnia... taka... Naraz zaniosła się płaczem i chwycił ją suchy, rozdzierający kaszel.

Przyniósł jakieś lekarstwo i bardzo troskliwie zakrzątał się koło niej.

Uspokoiła się wkrótce, wytarła oczy i rzuciła mu się na szyję.

— Tylko pan Frani nie ukrzywdził, tylko pan jeden jest dobry, taki poczciwy, taki święty! taki kochany!—wołała, okrywając go namiętnemi pocałunkami.

Na dole zerwała się jakby wściekła burza, rozlegały się nieludzkie wrzaski, brzęki tłuczonego szkła i rozbijanie mebli.

Wyrwał się z jej uścisków, gdyż do drzwi ktoś zaczął się dobijać.

— Schowaj się do tamtego pokoju, prędko! Zamknął za nią i dopiero poszedł otworzyć drzwi.

Zasapana Magdzia wniosła na tacy obfitą kolacyę.

— A to pani przysyła i dla tego pana, który przyjechał.

— Jedliśmy, ale zostaw. Cóż to u was za zabawa?

— A pan wrócił ze służby i tak se ano balują..

— I wesoły, jak zawsze! Rzucił nieznacznie gazetę na kapelusz Frani.

— A jużci, schlał się, jak nieboskie stworzenie, i teraz wyprawia takie brewerye, pani go zamknęła, bo się już brał do bicia, sama siedzi se przy mnie w kuchni a popłakuje i wyrzeka. Jabym się ta nie dała chłopu krzywdzić i poniewierać, nie!—rozpowiadała, zastawiając stół.

— Cóżby Magdzia zrobiła? Patrzył niespokojnie na okrycie Frani, leżące na kanapie.

— Co? A jakby mi się upił, to bym go tak sprała, żeby mu się na drugi raz odechciało! Ale moja pani to jeno rączki łamie, lamentuje a boskiego zmiłowania czeka! A kajże to ten drugi pan?—przyglądała się podejrzliwie.

— Spi w tamtym pokoju, zaraz go obudzę...

— To widzę, taki pan, co nosi kobiece obleczenie! Dojrzała okrycie i, buchnąwszy śmiechem, uciekła, aż pod nią zadudniały schody.

— Żeby cię dyabli, rozgada zwierzę po całym domu! Zrzucił okrycie w kąt.—No, chodźże! zawołał niecierpliwie, otwierając drzwi.

Ale Frania nie wyszła, stała przed portretami, wiszącemi na ścianie.

— Panie Józiu, a co to za facet, ten—w siwej peruce?

— To mój pradziad.

DCN.

Zygmunt Bartkiewicz.

63.

4

— Nie zdrada, a obywatelski to czyn, boć on przecie tysiące na śmierć pewną prowadzi...—tak sobie rozważał i w myślach się krzepił, ale:—zdrada!—mówiło mu słońce,—ród splamisz na zawsze!—groziły ze ściany ojca i dziada portrety.

— Nie ja go w matnię wprowadzę i wydam, to inny...

— Niech sprawi to inny, nie ty—szalachcic, pan z panów...

I gryzł się stary, i nienawiść go żarła, a że bezsilna, tem sroższa. Końca nie widział udręce, zmęczony, osunął się, pobladł i—zamilkł.

— Z Panem Bogiem rozmawia. Takusieńki był stary pan, ino lżejszy na rękę...—nie znając przyczyn, a sądząc ze skutków, prawiła dawna służba we dworze.

Pod czas ten Langiewicz, po zwycięstwie staszowskiem, pragnąc Jeziorańskiego oddział pod chciwą władzę zagarnąć, z borów wychynął i pod Małagoszczem, z dwóch stron osaczony, poniósł stratę dotkliwą. Tam jedynych armat wyzbywszy, z olkuską wiwatówką ruszył ku lasom Pieskowej Skały, gdzie, jak każe tradycya, po klęsce bankiet sprawił dla sztabu i wiary. Miałby wnet do drugiej uczty sposobność, gdyby nie Dąbrowski i Pióro, którzy nieruchawych a chwiejnych kosynierów dzielnym przykładem zagrzali do boju. I ruszyła moc chłopska i—jak zawsze: niech jeno ruszy, a nie ostoi się nic, zmiotła kosami księcia Szachowskiego kolumnę.

Spełnili swoje, odeszli w cienie szeregów, a w blasku bohaterskiej sławy Langiewicz ruszył żwawym marszem do Goszczy—na teatr.

Bo—teatr: spędzonego wojska czworobok, fanfary, sztab świetny, łoskot ocalonej armaty i—vivat dictator!, ale co się w duszy wydziera i płacze,—niesprawiedliwość i krzywda, jaka się dzieje stu bohaterom godniejszym, to—życie, zawsze to samo, czy na polu bitewnych zapasów, czy w świecie zasług społecznych, gdzie tak błądzą ludzkie wyroki, choć w ich sprawiedliwość sami sędziowie nie wierzą.

I krzyknęli: wiwat! w Goszczy na błoniu, i wiwat trzech tysięcy poleciał we światy, złość, śmiech, żale w duszach obudził, lecz wojsko powstańcze ból w sobie zaparło, i wobec świętej sprawy, w poczuciu siły jedności—rzadki raz w Polsce—nie było niezgody. Odkrzyknęli wiwatem i Traugutt, i Sierakowski, Brandt, Lüttich, Mackiewicz, Taczanowski, Mielęcki, Jundziłł i Frycze, a z nimi Nalibocka puszcza, lasy Bilińskie, ciemne parowy, kieleckie kryjówki, gdzie z kilku ludzi składały się partye.

I nikt w walce nie ustał, nikt niezapomnianego veto nie krzyknął, zbyt wiele zapału miał w sercu, wiary w spełnioną powinność, aby ten vivat nieszczery, podstępem wydarty, mógł nim zachwiać, żądzy wyzwolenia myśl jasną odczuciem krzywdy zamroczyć.

Kilka dni na urządzeniu widowiska zbiegło, poczem wypadło z Goszczy ustąpić przed gośćmi nie w porę, którzy już krążyli naokół, skupiali się, aby pewniej na silny oddział uderzyć. Tedy pod Miechowem, w Sosnówku przysięgi na wierność narodowi dokonał dyktator i ruszył znowu bez celu i planu, z majorem Bentkowskim, Jabłońskim i srogim Czengierym na karku.

W Chrobrzu, posiadłości Wielopolskiego, gdzie stanął obozem, wiara, zaślepiona nienawiścią do magnata satrapy, trochę z kozacka sobie poczęła.

Gdy poczętemu rabunkowi przeszkodził szczęśliwie Winnicki, zajrzano do lochów, a tam się poczęła zabawa, której wzbraniać nikt nie śmiał, bo któżby się oparł, gdy wytoczono beczki wystałego dębniaku, cenne gąsiory ze złotopłynnym, jak oliwa, gęstym tokajem, wielkie kufy win wytrawnych węgierskich, zsiadłe pękate grabówki ze starką i mchem porosłe staruszki, wojny z Siedmiogrodem pamiątki. Nie brakło słodkich alikantów, małmazyj, likierów francuskich, bo margrabia, pan z panów, w godnej krwi darach smak delikatny dziedziczył, kunszt zachowania trunków rozumiał.

Długo się opierała piwnica, mimo, że z górą trzy tysiące ludu na nią naległo. I długo w noc zaciągnęła się uczta, i znów rozpoczęła od rana, a—wiwat! i—Na pohybel! i „Jeszcze Polska nie zginęła“ raz po raz grzmotem wesela huczało po łąkach Nadnidy—tak długo, aż zbudziły echa jękliwych granatów.

Czengiery na wzgórzu ustawił armaty i prażył nieosłonioną równinę.

Jęk rannych zmienił wiwaty, lecz powiew śmierci w porę biesiadników otrzeźwił. Ruszyli strzelcy z dzielnym Czachowskim, Rochebrune obok, odpowiedzieli celnym ogniem sztucerów, i zamilkła baterya, ustąpił Czengiery, a do odwrotu mu grał Dąbrowskiego mazurek.

Langiewicz znowu się cofnął; po szumnej biesiadzie popasał w Wełeczu obrzednio, jako że wozy z żywnością, co gorzej z amunicyą, wśród pierwszego pod Chrobrzem popłochu gdzieś w lasach przepadły.

A nocą marsz do Grochowisk na pierwsze ważne zwycięstwo—i ostatni akt „Dyktatury“.

*
* *

Dobry był żołnierz pułkownik Czengiery: zaledwie z pod Chrobrza się cofnął, już obóz w Grochowiskach bystro przewidział i szerokiem koliskiem opasał.

Od Wełecza wsparł go major Zagriażskij, z Wiślicy Sorniew już ruszył, czekano tylko Bętkowskiego kolumny od Nidy.

— Ten się nie spóźni,—mówił pułkownik—nie lubi polaczków Kazimir Stanisławowicz Bentkowskij.

Jakoż na lewy brzeg Nidy major piechotę przeprawił pomyślnie i zamknął nią lukę w stalowym pierścieniu bagnetów.

Po za pierścieniem bocznemi drogami ciągnął major Zwieriow leniwie. Nie miał jeszcze rozkazu, aby z Czengierym się łączył, a że dobroduszny był człowiek, mawiał otwarcie:

— W waszym kraju się rodził, opaliacził się trochę, nie chcę waszych mordować, ale — ot, z kozaczkami pohulać lublu.

I hulał z kozaczkami po dworach, w pień chlewy wyrzynał, całe kurniki troczył do siodeł, a gdzie obywatel bogatszy się zdarzył, kontrybucyę nakładał doraźną, potem „raskłaniał się“, „za bezpokojstwo“ przeprosił:

— Ot, czas wojenny, prosz pana...

Bić lubił, ale, jak mawiał, „bez złoby“; tedy, gdy biedaka, co nierad był się rozstać z groszem na czarną godzinę, rozkładali kozacy i bili, major go „sigarkami“ częstował, z okrwawionego żartował:

— Ot, sławno byłoby teraz solju pasypat', ale pan dobry, paszuka kreditek w kamodie i wypije z majorem na zgodę.

W dobrym, jak zawsze, humorze był major, gdy mu kozacy Grzybowskiego przywiedli. Pochylił się z konia i po plecach go zlekka uderzył.

— Nu, powiedz, milejszy człowieku, zaczem ty się do lasu przekradał? Jak ojcu, ty powiedz.

— Wiadomo, za czem do lasu. Po chrust.

— Po chrust!.. A jaż dla ciebie, mój miły, już chrust przysposobił, ot widział...—i major na suchą gałąź starej, przydrożnej gruszy wskazał.—Sławny on, suchi; ciebie moje kozaczki podsadzą, od tego chrustu ciepło tobie będzie... A? Miły?

Chłop drgnął i mruknął po chwili:

— Jak ta komu sądzone, nie minie.

— Nu, a powiedz ty mi, dobriejszy mój gospodarzu, ile u was w lesie powstańców?.. Myż za was, za waszą wolę wojujem, a prędko z panami skończym, wam lepiej, bo ziemię wamże zaraz rozdzielą. Ty słyszał?

— Gadali...

— Nu, i prawdę gadali, powiedzże i ty prawdę, ile ich w lesie?

— W lesie niemasz nikogo, a co było, do Langiewicza już przeszło.

— Nu tak... A pocóż ty do lasu szedł?

— Toć mówiłem: po chrust.

Zniecierpliwił się Zwieriow, na kozaka skinął, ten na arkanie chłopaku sobie pociągnął i nahajem przemierzył.

Jak iskry, gdy prysną z pod kopyt, zamigotały oczy starego, i wnet sznury się wżarły w ciało—do bólu, do jęku.

Ciężka droga znów biegła pod górę. Zmydlone konie ustawały u armat, knut świstał i rwała się uprząż, a coraz żwawiej i głośniej rozlegały się przekleństwa, oczywiście, ku powstańcom zwrócone. Bo przecie to oni, takie syny, umyślnie drogi psują, zabierają furaże, jak mogą, szkodzą naszemu bratu, jeszcze śrótem, jak do kaczek, strzelają.

— Oj, naród, tak naród! Dobrze tobie, spokojnie, a ty... — i z melancholią rozmyślań znów się łączy przekleństwo, znów zaparła armata w wyboju. Ledwo ją ztamtąd dźwignęli, w tem samem miejscu bryka taboru pochyliła się nagle, zaważyła chwilę i powoli, jakby zmęczona, układła się na drodze. Za nią przystanęły furgony.

— Mówiłem, — do młodego podporucznika zwrócił się major—po co te wszystkie maszyny, bagaże wozić ze sobą. Dajcie trzy sotnie kozaczków, trzy sotnie nahajek, a w tydzień zrobię porządek, i Annę na szyję dostanę. Ale co im tam mówić, kiedy wojnę zachcieli prowadzić. I z kim? Z bosonogą bandą.

Lecz co to? Ze wzgórza, porosłego brzeziną, suchy strzał buchnął, i drugi, a po nim cała linia kłębków dymu wytrysła. Zakotłowało się w wojsku, kilka koni dragońskich luzem popędziło przez pola.

Major przybladł, ochłonął, w mig sprawił kolumnę, dymem zasnuła się droga. Gruchnęły spiesznie odprzodkowane armaty, raz jeszcze i—cisza. Brzezina tylko się zlekka kołysze, ptak wrzasnął, kot pomknął, wśród żołnierzy odezwały się śmiechy. Jeszcze raz grzmot, zaszumiały kartacze, major kozaków rozrzucił po wzgórzu, pchnął do lasku na zwiady.

I cisza, tylko rodzime, macierzyste przekleństwo moskiewskie,

na różne westchnienia, wznosi się z szeregów.

Wyniosłym truchcikiem, na wysoko zdartych koniach powracali z brzezinki kozacy, odłączył się od nich dziesiętnik, przed majorem salutował:

— Nikawo nie okazałoś, wasze—skorodje.

— Nu i sławno, — uśmiechnął się dowodca.

— Rady starrratsia! — huknęły szeregi.

— Ot tobie i wojna. Strzelą, kilku skaleczą — i w nogi... — już uspokojony Zwieriow znów westchnął.

— Ale sami uszli bez straty.

Major zastanowił się chwilę, potem surowo na młodzieńca spojrzał i ruszył oddziałem.

Za brzeziną, z po za pasu snującego się dymu miły uderzył go widok. W drzew kępie, pod bladem marcowem słońcem, złocił się dworek, a że pora obiadowa była, uśmiechnął się Zwieriow i do Grzybowskiego zwrócił:

— Ej, kochanienki, a czyjaż to chata?

— Wiadomo... Pana Kozłowskiego, dziedzica.

— Ot, co dziwno, że u was tylko wsio pan Kozłowskij, pan Baranowskij, Swiniarskij. Ni jednego Lwowa, a wsio miełkij skot.

Prychnął nieśmiało wachmistrz opodal idący, lecz gdy major ku niemu dobrotliwie spojrzał, szerokim śmiechem buchnęli żołnierze, żwawo kroku poddali, przeczuwając obfity posiłek, daj Boże, rabunek, bo major łaskawy, to może we wsi pagulat' pozwoli.

Na płaskich i jakby glinianych twarzach kozaków już błysły dziwną jakąś, bezmyślną drapieżnością czarne ziarna oczów, a gdy major na „uriadnika“ skinął głową, w kierunku wsi poruszył, a ten rwącą się szkapę na dwa boki nahajem obłożył i pomknął, zaskomleli, jak spuszczone ze sfory ogary, ruszyli za nim z kopyta. Już między ciche chłopskie chaty z chmurą pyłu wpadli—i gnają. Ukasane, wrzeszczące baby, ogłupiałe krowy, cielęta, chmara ptactwa przed nimi i psy z rozpaczliwym jazgotem, kryjące się w opłotki. Pisk, skrzekot i wycie, a nad wszystkiemi głosami wsi przerażonej skowyt radosny. Piki zniżyli i pędzą, a raz wraz pod kopytami, w kłębach piasku zakotłuje się ciemny łach starowiny, błyśnie dzieciak płótnianką, ale nic to, boć wyprutemi wnętrznościami wolnych sokołów, Dońców serdecznych, nie wzruszysz.

Nagle z po za chaty jakiś rozpaczliwy strzał buchnął, pędzący tuman w miejscu się zwinął, w mig ciżbą koni kozackich zawrócił i gnał za nimi do swoich.

Rekonesans sprawiony!

— Opasno!

DCN.

Stefan Krzywoszewski.

PRZYWÓDCA.

6 Akt II. Dramat w 3-ch aktach.

Scena 5.

Kazimierz, 3 delegaci robotniczy.

KAZIMIERZ Proszę... *(wchodzą 3 robotnicy).* Siadajcie, towarzysze. *(robotnicy siadają w milczeniu).*

I DELEGAT (*po chwili*). Byliśmy tam... skończone.

2 DELEGAT. I jak było do przewidzenia. Zbyteczny zachód.

KAZIMIERZ. Cóż odpowiedzieli?

I DELEGAT. Odpowiedzieli, że zarząd jest zdecydowany raczej zupełnie fabryki zamknąć... że naszych żądań pod żadnym warunkiem nie uwzględnią...

2 DELEGAT. Rudy powiedział—„ten wrzód trzeba raz przeciąć, choćby bolało!“ (*groźba w głosie*). Oni to nazywają wrzodem! Kogo zaboli?

KAZIMIERZ (*wciąż jeszcze pod wpływem wzruszenia, jakie w nim wywołała rozmowa z Ludką*). Tak odpowiedzieli!...

I DELEGAT. Nasi zaczęli się gromadzić przed gmachem. Oni tam na pierwszem piętrze, słyszą teraz...

KAZIMIERZ. Czy wzywaliście do spokoju?

3 DELEGAT (*mrukliwie*). To się na nic nie zda.

KAZIMIERZ (*poruszony*). Jakto?

I DELEGAT. Młodszych trudno będzie utrzymać. We łbach się pali.

3 DELEGAT (*j. w.*). Żeby się nie zapaliło gdzieindziej?

KAZIMIERZ (*j. w.*). Trzeba koniecznie zapobiedz... Moglibyśmy zaszkodzić tylko... I po co bezużyteczne ofiary!

I DELEGAT (*trochę lekceważąco*). Zrobi się, co będzie można (*zmiana tonu*). Więc właściwie nic nowego. Jutro schodzimy się w fabrykach, o 8-ej rano maszyny stają. Wypuszczamy parę. I halt.

KAZIMIERZ. Jutro (*w uszach jego dźwięczą jeszcze słowa Ludki, jej obawy i troski*). Czyście pomyśleli, że to nie jest taki zwykły strajk częściowy, jakie miewaliśmy dotąd, które załatwiały się, przemijały?...

3 DELEGAT (*mrukliwie*). Żyć w pracy, albo umrzeć w walce!

I DELEGAT. Takie życie było męką!

2 DELEGAT. Albośmy to oddawna nie wiedzieli, że do tego przyjść musi? (*do Kazimierza*). Któż nam pokazał, czem jesteśmy, czem powinniśmy być? Pan nas prowadził dotąd, pójdziemy i teraz za panem, choćby przyszło zdechnąć. Żeśmy przejrzeli, to przecież pana zasługa.

KAZIMIERZ (*wzruszony*). Moja?

I DELEGAT. Raz skończyć trzeba. Niechby chociaż dzieciom, tym co po nas przyjdą, lepiej było!

3 DELEGAT. Pokażemy ścierwom raz...

I DELEGAT. Niech pan się o nas nie troska. W gruncie rzeczy, my czujemy radość. To, co wzbierało przez lat tyle, a co trzeba było dusić i tłumić... teraz damy upust. Chcieliby, żebyśmy gnili wiecznie? Niedoczekanie! Nie daj Boże tym, co się z nami spotkają, co nam będą chcieli na drodze stanąć! Siebie żałować nie będziemy, ale i ich!

KAZIMIERZ (*zaczyna opanowywać wzruszenie*). Nie dziwcie się! Jestem pod wrażeniem. Gdy nadchodzi stanowcza godzina, mimowoli myśli się o tych, co najwięcej cierpieć będą, o kobietach, dzieciach...

3 DELEGAT. Będziemy o nich myśleli? Kto chce, niech idzie pod pierzynę... (*śmieje się ponuro*) he... he...

I DELEGAT. Panu zawdzięczamy organizacyę. Nie idziemy samopas...

Gdzieindziej towarzysze też na nas patrzą... (*gorącej*). Wam, towarzyszu, zawdzięczamy więcej: nasze uświadomienie. Zanimeście tu przyszli, byliśmy, jak ciemne stado. Niektóry tam czuł, że jest, jako bydlę... Czuł, że orze dla innych, że inni go doją. Ale dopiero wyście obudzili w nas to... to samopoczucie. Psiakrew! myśmy ich dawniej nawet nie umieli nienawidzieć!

3 DELEGAT (*ponuro*). Teraz nas poznają!

I DELEGAT. Wiemy, żeście nasz! Prowadźcie nas dalej, jakeście prowadzili dotąd. Na zgubę tym, co z nas niewolników czynili — tym pijawkom, co ssały naszą krew!

2 DELEGAT. Hańba im!

3 DELEGAT. Hańba!

KAZIMIERZ (*ocknął się ze swego wzruszenia i mówi głosem stanowczym, ciętym, niemal rozkazującym*). Towarzysze! Wybaczcie chwilę wzruszenia! przed oczyma stanął mi obraz tych poświęceń i ofiar, jakie czekają was i wasze rodziny. Lecz macie słuszność! Nie czas roztkliwiać się! Hasło do walki dane. Niech odpowiedzialność za to, co nastąpi, spadnie na głowy tych, którzy tę walkę wywołali.

TRZEJ DELEGACI. Hańba im...

KAZIMIERZ. Na dziesiątą zrana zwołajcie wszystkich delegatów.

3 DELEGACI. Gdzie?

KAZIMIERZ. Najlepiej w maszynach. Zanim wszyscy towarzysze wyjdą, minie sporo czasu. Zamkniemy się w biurze. Towarzysz Władysław pójdzie dziś jeszcze porozumieć się z komitetem centralnym. Tam są przygotowani. Głowy do góry! Wszyscy za jednego! Jeden za wszystkich!

TRZEJ DELEGACI (*wstają*). Wszyscy za jednego! Jeden za wszystkich! (*w drzwiach z lewej strony ukazuje się Marya*).

MARYA. Czy można? Bo jest ze mną p. Brukwa...

KAZIMIERZ (*daje jej znak ręką*). W tej chwili, proszę pani (*ściska za ręce kolejno trzech delegatów i wskazuje na drzwi środkowe*). Tędy, towarzysze. Zatem do jutra! (*delegaci wychodzą*).

Scena 6.

Kazimierz, Marya, Brukwa, później Ludka.

(*Wchodzi Marya, za nią Brukwa*).

BRUKWA. Cóż słychać? Przed dyrekcyą tłumy. Nie można się przecisnąć. Czy to prawda, że jutro...

KAZIMIERZ. Tak.

MARYA (*wzrokiem wskazuje na drzwi, któremi wyszli delegaci*). A nastrój?

KAZIMIERZ. Oni? To skała, pchnięta w podstawach, drgnęła, poruszyła się i własnym ciężarem leci w dół, coraz mocniej, coraz potężniej, niepowstrzymana, żywiołowa... I ta nienawiść.... czasem aż przeraża!

MARYA (*z dziką radością*). Przeraża? Niech drżą ci, ktorym staniemy oko w oko! Już dosyć było tej podziemnej roboty, ukrywania się, tajenia... Teraz odetchniemy pełną piersią.

KAZIMIERZ (*smutnie zamyślony*). Tak...

BRUKWA (*przygnębiony*). Pan wie, jak mnie dziś przyjęli w dyrekcyi? W pańskiem biurze jest gniazdo propagandy. Pańscy bezpośredni podwładni, Szulc, Garuniewicz, Czelański, nie robią nic innego, tylko agitują wśród robotników.—Cóż ja na to poradzę, panie dyrektorze? Ja nie mam nad nimi ani władzy, ani wpływu... — On na to swoim kwaśnym tonem: — To właśnie źle, że pan nie ma wpływu. Slamazarność i brak energii doprowadziły do tej anarchii. Teraz wszyscy będziemy ponosili skutki.—(*zmiana tonu*). Uważa pan? Cóż ja jestem temu winien? Pan wie najlepiej, czy ja się mieszałem, czy ja nie nawoływałem do porządku, do pracy (*zmiana tonu*). Potrzebowałem właśnie zaliczki, bo syn mój musi opłacić semestr w politechnice, żona ma pić wody Karlsbadzkie... Lekarz tego... koniecznie... Cóż ja teraz zrobię?

MARYA (*pogardliwie*). Żebyś pan wiedział, jak te żale pańskie są małe... w takiej chwili?

KAZIMIERZ (*do Brukwy*). Troskanie się nic nie pomoże, panie Andrzeju, musimy sobie dać radę. Jeden drugiemu pomoże... Czy pan sądzi, że my nie odczuwamy tego, co pana boli?

MARYA (*na stronie do Kazimierza*). Cóż pan tak go pociesza?

KAZIMIERZ (*tak samo*). Biedny człowiek. Ma rodzinę...

BRUKWA (*zajęty wciąż własną myślą*). Rozumie pan... tu Karlsbad, tam wpis, a troje młodszych też potrzebuje... Jadzia nie ma sukienki na lato... (*zmienia ton*) —Teraz pan przychodzi o zaliczkę? Pan masz żołądek! (*zmiana tonu*). — Naturalnie, że mam żołądek... (*do Maryi*). Pani obiecała mi szklankę herbaty. Jestem zupełnie zbity z nóg.

MARYA. Zaraz będzie (*wychodzi, słychać, jak mówi za drzwiami* „samowar“ *i wraca*).

BRUKWA (*kontynuuje*). Człowiek całe życie pracuje i na starość potem... (*ruch ręką*). Psie życie!

MARYA (*wraca*). Cóż się stało z Ludką? (*idzie do drugich drzwi na lewo*). Ludka? Jesteś? Siedzisz po ciemku? (*Ludka wchodzi, przecierając oczy od światła*). Cóżeś robiła?

LUDKA (*trochę zmieszana*). Ja? nic... przyszli ci panowie z fabryki... (*spojrzenie jej spotyka się ze wzrokiem Kazimierza i urywa*).

MARYA (*niecierpliwie*). Pan Brukwa prosi o herbatę... Karolka guzdrze się z samowarem...

LUDKA. W tej chwili (*wychodzi*).

MARYA (*do Kazimierza*). Co jej się stało? Ma takie dziwne oczy? Czy nie płakała?

KAZIMIERZ. Nie... ja nie wiem... Ale zkądżeby znowu płakać.

LUDKA (*wracając*). Już niesie samowar (*idzie do kredensu, wyjmuje cukier i herbatę, do Kazimierza na stronie*). Mimowoli słyszałam, co panowie mówili.. Pan się nie będzie narażał...

KAZIMIERZ (*wzruszony*). Pani o tem pomyślała... (*służąca wnosi samowar*).

MARYA (*podejrzliwie*). Państwo mają tajemnice?...

KAZIMIERZ (*zmieszany*). Nie... tylko panna Ludwika... (*urywa, Ludka zaparza herbatę*).

BRUKWA (*do Kazimierza, wciąż zajęty swą myślą*). Powiedział mi: Dlaczego pan ich nie powstrzymuje... Garuniewicza... Szulca... Dlaczego pan nam nic nie mówił? — Panie dyrektorze—mówię—jakże ja mógłbym... To przecież denuncyacya... Trzydzieści lat służyłem uczciwie, pracowałem, jak wół...

MARYA (*zaniepokojona zachowaniem się Ludki i Kazimierza, roztargniona*). Oni akurat cenią pracę ludzką.

KAZIMIERZ (*ciepło do Brukwy*). Teraz potracili głowy. Pomyśl pan, im ziemia usuwa się z pod nóg, między młotem i kowadłem... Przedewszystkiem nie trać pan otuchy...

BRUKWA (*kontynuując*). A tam na dole cisną się, że przejść nie można... I słyszę, jak wołają: Patrzcie, jeden z lokajów tych wyzyskiwaczy... Hańba burżujom!—Spoglądają na mnie, jak na wroga... (*wchodzi Władysław drzwiami z głębi sceny*). O, pan Władysław! Jest co nowego?

Scena 7.

Ciż, Władysław.

WŁADYSŁAW. Nowego? Pewno już wiecie... (*do Kazimierza*) Byli u was?

KAZIMIERZ. Tak.

WŁADYSŁAW *(z otuchą)*. Nastrój wszędzie doskonały. Raz kozie śmierć.

KAZIMIERZ. W tem, co mówił Żegoń, tkwiły pogróżki. Czy pan nie słyszał?

WŁADYSŁAW. Mam wrażenie, że coś się knuje po za nami...

BRUKWA. Ale co? Co takiego?

WŁADYSŁAW. Gorętsze żywioły trudno będzie utrzymać na wodzy... Ja dziś na noc... *(do Maryi z odcieniem dumy)* wyjeżdżam, jako delegat...

MARYA *(obojętnie)*. Słyszałam. Pilnuj się, żebyś nie zrobił jakiej niedorzeczności.

LUDKA *(podaje szklankę herbaty Brukwie)*. Proszę pana... oto cukier *(do Kazimierza)*. Czy pan chce?

KAZIMIERZ. Bardzo proszę.

WŁADYSŁAW. I ja, moja droga, mam gardło wysuszone....

BRUKWA *(do Ludki)*. Pani jesteś jakaś inna... Czy panią co spotkało?

LUDKA. Cóż znowu! Zdaje się panu *(wszyscy patrzą na nią)*.

WŁADYSŁAW. Rzeczywiście... Czy co zaszło?

LUDKA *(rozdrażniona)*. Jeśli będziecie tak na mnie patrzeć, to się naprawdę rozpłaczę... *(do Kazimierza)*. Niechże pan choć mnie broni.

MARYA *(mierzy ją podejrzliwym wzrokiem)*. Potrzebujesz aż obrońcy?

WŁADYSŁAW *(bierze herbatę)*. Ludka, ty coś kryjesz? *(do Kazimierza)*. Ona zawsze miała tego pecha, że nic nie potrafiła utaić *(do Ludki)*. Dalej, panienko, robić wyznanie.

LUDKA *(zmieszana)*. Nieznośny jesteś!... *(do Kazimierza)*. A pan, zamiast stanąć po mojej stronie, to się tak samo patrzy!... E... *(idzie do okna)*.

KAZIMIERZ *(po chwili milczenia)*. Panie Władysławie... Panna Ludwika przed chwilą pozwoliła mi mieć nadzieję... że... że mi sprzyja... a ja kocham pannę Ludwikę...

MARYA *(wstała żywo)*. Co?

WŁADYSŁAW *(poruszony, wesoło)*. Więc to takie buty? Ludka!

LUDKA *(przy oknie, oczy spuszczone, cicho)*. Tak...

BRUKWA *(uradowany)*. Jak Boga kocham! To nowina! Ktoby się spodziewał w takich czasach!

MARYA *(bez ruchu, przez zęby)*. Istotnie... w takich czasach...

WŁADYSŁAW. No, moi drodzy, toż niespodzianka! *(do Kazimierza)*. Choć — jeśli myślisz, że ja nic nie widziałem... *(do Maryi)*. Czy nie mówiłem dziś jeszcze?

MARYA *(sucho)*. Teraz dopiero podziwiam twoję przenikliwość.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

6

Przekład z angielskiego.

— Tak jest. To mój kuzyn. Mieszka on w Beni-Mora, ale i on był także w Paryżu. Siedział także w więzieniu.

— Za co?

— Za zabójstwo.

Batucz udzielił tej wiadomości ze spokojem zupełnej obojętności — i ciągnął dalej:

— On lubi śmiać się. To próżniak. Zarobił kiedyś sporo grosza — i teraz niema nic. Dziś jest wesoły, bo ma swego pana.

— Widzę to. Jest tedy przewodnikiem.

— W Beni-Mora jest wielu przewodników. Lecz Hadi jest zawsze uszczęśliwiony, gdy złapie anglika.

— Ten pan, który z nim, to — anglik? — zawołała Domini.

Zadawała sobie w myślach pytanie, jakiej mógł być narodowości podróżny, lecz nigdy nie przyszło jej do głowy, by był tej samej, co ona

— Tak jest, anglik. On także idzie do hotelu Pustyni. Pani i on — jedyni tu anglicy i prawie że jedyni podróżni. Za wcześnie jeszcze na zwiedzających. Boją się gorąca. Zresztą, mało anglików przybywa w te strony. A szkoda! Tracą pieniądze i patrzą na byle co. Hadi'emu chodzi bardzo, by kupił sobie w Tunisie kostium na wielką fetę na zakończenie Ramadanu. Będzie kosztował piętnaście lub szesnaście franków. Pokłada nadzieję, że anglik jest bogaty. Ale wszyscy anglicy są bogaci i wspaniałomyślni.

Z temi słowy Batucz spojrzał spokojnie na Domini swemi wielkiemi, niezmąconemi oczyma.

— Ten jego pan mówi trochę po arabsku.

Domini nic nie odrzekła. Zdziwiła ją ta wiadomość. Coś było rdzennie nie angielskiego w tym cudzoziemcu — myślała. Oczywiście, nie angielski krawiec go ubiera. Lecz nie to tylko było powodem omyłki. Cały jego wygląd, sposób zachowania, siedzenia, chodzenia — tak jest, osobliwie chodzenia — były najpewniej obco-krajowe. Ale, gdy poczynała myśleć o tem, nie mogła określić, co było w nim charakterystycznego z tego lub owego kraju. Leniwie rzekła sobie, że musiał być austryakiem czy słowianinem. Myślała atoli o jego cerze. Zdarzyło się jej raz, że dwaj *attachés* dwóch narodowości, których często spotykała w Londynie, mieli włosy tego odcienia barwy — raczej ciemno-brunatnej.

— On nie wygląda na anglika, — rzekła głośno.

— On umie po francusku i po arabsku, lecz Hadi powiada, że to anglik.

— Zkądże on wie o tem?

— Bo on ma oczy szakala i był z wielu anglikami. Jesteśmy teraz blizko kościoła katolickiego, proszę pani. Widać go między drzewami. A oto i ksiądz jegomość idzie naprzeciwko. Idzie ze swego domu, który jest wpobliżu hotelu.

Nieopodal w cieniu tunelu Domini dostrzegła czarną postać w sutannie, idącą wolnym krokiem naprzeciw nim. Cudzoziemiec, który szybko wymierzał grunt swemi dziwnemi posuwistemi krokami, był bliżej niego, niż oni, i gdyby szedł tym samym krokiem, prędko by go minął. Lecz Domini spostrzegła w nim naraz pewną zwłokę i wahanie. Schylił się i począł coś niby poprawiać koło swego obuwia. Hadi porzucił zielony worek i już miał zamiar uklęknąć i dopomódz mu, gdy ów nagle podniósł się, rzucił wzrokiem jakby na księdza, który się przybliżał, i naraz skręcił gwałtownie na prawo w ścieżkę, która wiodła z ogrodu ku arkadom ulicy Berty. Hadi podążył za nim, gestykulując po frantosku i ruchliwie wyjaśniając, że hotel był w przeciwnym kierunku. Lecz cudzoziemiec nie zatrzymał się. Spojrzał raz tylko szybko za siebie, odwracając głowę, i szedł dalej bez przerwy.

— Jaki zabawny jegomość! —

rzekł Batucz. — Cóż to on ma tam za potrzebę?

Domini nic nie odrzekła, gdyż właśnie ksiądz przechodził mimo, a z lewej ujrzała kościół pośród drzew. Był to płaski, bez pretensyi budynek, z białemi drewnianemi odrzwiami, osadzonemi w łuk. Po nad łukiem był mały krzyż, dwoje okien z zaokrąglonemi szczytami, dzwon i biała wieża z czerwonym daszkiem. Spojrzała na kościół i na księdza, którego lico było ciemne i zamyślone, z błyszczącemi, lecz ciemnemi, piwnemi oczyma. I znów pomyślała o cudzoziemcu.

Uwaga jej dziwnie zwracała się wciąż w kierunku tego nieznajomego. Wygląd jego i jego obyczaj były tak niezwykłe, iż nie można było nie zwrócić na nie uwagi.

— A oto i nasz hotel! — rzekł Batucz.

Domini ujrzała go u prawego boku kościoła, naprzeciw ogrodów. Nieopodal od kościoła była plebania, biały budynek, ocieniony daktylowemi palmami i drzewami pieprzowemi. Gdy przechodzili mimo niego, cudzoziemiec ukazał się znowu pod arkadą, nad którą był taras hotelowy. Zniknął on w dużych odrzwiach w towarzystwie Hadi'ego.

Podczas kiedy Zuzanna wypakowywała rzeczy, Domini wyszła na obszerny taras, który ciągnął się wzdłuż całego Hotelu Pustyni. Sypialny jej pokój był od frontu i z tyłu łączył się z małym salonikiem. Salonik ten wychodził na drugi, mniejszy taras, z którego poza palmami widać było pustynię. Gości, jak się zdawało, nie było w hotelu. Werenda była osamotniona, i pokój łagodnego wieczoru był głęboki. Naprzeciw białego przepierzenia stał mały okrągły stół i trzcinowy fotel. Na schodach rozległy się stłumione kroki w pantoflach, i służebna arabka ukazała się z przyborami do herbaty. Postawiła je na stole z wyobraną zręcznością, którą już przedtem dostrzegła Domini u arabów w Robertvillu, i rączo zniknęła. Domini siadła w fotelu i nalała sobie herbaty, przechylając lewe ramię przez poręcz.

Głowę miała bardzo zmęczoną i w skroniach czuła ucisk. Czuła wdzięczność za spokój, jaki miała dokoła. Wszelki dźwięk ostrzejszy byłby dla niej nieznośny w tej chwili. Od wioski niosły się głosy, lecz były one ustronne, zmieszane, spływające społem i tworzące jeden dźwięk, który był łagodnym, powściągliwym, równym głosem Życia. Szemrał on w uszach Domini, gdy piła zwolna herbatę, tworząc tło jakieś romantyczne pokoju. Światło, które spływało pod okrągłemi arkadami tarasu, było także stłumione. Słońce tylko co zaszło, i barwy jaskrawe nie grały już na górach; wyglądały one teraz, jak potwory milczące, które utraciły swą barwę młodości i stały się naraz tajemniczo staremi. Gwiazda wieczorna wybłysnęła na niebie, które na skrajach Zachodu zachowywało jeszcze nieco połysków dnia; jak na znak, pielgrzymi zmrokowi poczęli obwiązywać dokoła swych postaci swoje wolne szaty, zarzucali na ramiona swoje długie fuzye i szykowali się do drogi, pod rzeźkim wietrzykiem nocy, który wieje w pustyni, kiedy słońce zajdzie.

Domini nie wiedziała o tem, lecz czuła bliską obecność pustyni, i czucie to koiło jej nerwy. Była w tej chwili pełna wdzięczności dla siebie, że podróżowała bez przyjaciółki kobiety i nie miała żadnego rodzaju zobowiązań. W jej zmęczeniu pozostawać bierną pośród pokoju i światła łagodnego, ukojoną w wierze, prawie w pewności, że ta pustynna miejscowość nie nastręczy jej znajomych, którzy pokój mącą, było to znać całą radość, której pragnęła na teraz. Jakaż kobieta wolniejsza od niej—tu na tej samotnej werendzie, z cienistemi drzewy u dołu?

Zadźwięczał łagodnie w pobliżu odgłos dzwonka, i znany ten dźwięk dziwnie wpadał do uszu Domini tutaj w Afryce, przypominając jej wiele smutków. Wiara jej była związana ze strasznemi wspomnieniami, walkami okrutnemi, scenami nienawiści i okrucieństwa. Lord Rens był człowiekiem gwałtownego usposobienia. Mocny w dobrem, gdy był przez miłość kierowany, był równie mocny w złem, gdy nienawiść nim kierowała. Domini zmuszona była zbliska patrzeć na ten surowy charakter tego człowieka, od którego okoliczności odjęły wszystką czułość i prawie wszystko władanie nad sobą. Groza rzeczywistości była jej znaną. Drżała z bojaźni przed nią, lecz w ciągu długich lat była zmuszona czuwać nad nią. Przybywszy tu, do Beni-Mora, miała rodzaj luźnego i prawie dziecinnego wrażenia, iż między sobą i nią rozpostarła morze szerokie. Nawet, nim wyruszyła, było już wszystko w grobie. Nie mogłaby nigdy wrócić do tej rzeczywistości. Czuła potrzebę innej rzeczywistości życia—rzeczywistości piękna, pokoju, wolności. Lord Rens był prawie niewolnikiem, niewolnikiem miłości, wtedy najbardziej, kiedy był pełen nienawiści, i Domini, pod wpływem tego przykładu, łączyła instynktownie miłość z więzami. Jedynie miłość istoty ludzkiej do Boga zdawała jej się czasami najzupełniej wolną: ruch duszy w kierunku nieskończoności, posłuszny wołaniu wielkiego Wyzwoliciela. Miłość mężczyzny do kobiety, kobiety do mężczyzny, uważała, jako więzy, niewolę. Czyż nie była jej matka niewolnicą człowieka, który złamał jej życie i poniósł jej ducha poza udział nieba? Nie był że jej ojciec niewolnikiem jej matki? Stroniła stanowczo od ujrzenia siebie w okresie miłości, z całą mocą, którą podejrzewała w sercu, dla ludzkiej istoty. Jedynie w wierze swej czuła w rzadkich chwilach nieco miłości. I teraz tu, w tym strasznym, zdobywczym kraju, uczuła w sobie boskie poruszenie miłości Przyrody. Wzbudziło ono ją gwałtownie do wielbienia, wywołało w niej płomiennie coś więcej, niż pełną umiaru czujność lub prostą admiracyę. Był w tem zew zdecydowany, który był do niej. Nawet w zmęczeniu swem i w tym zmroku sennym świadoma była ukrytej pobudki, która była nie do uśpienia. I gdy tak tu siedziała, w zmrokach, które rosły na niebie i roztaczały się tajemnie wzdłuż wzgórków piaszczystych pomiędzy drzewami, pytała siebie, jak wiele miała w sobie do dania w odpowiedzi na zew tej przyrody zaufanej. Czy tylko nie wiele? Nie wiedziała. Lub może była nadto zmęczona, by wiedzieć.

Chłód ją przeniknął. Uczuła się, jako bardzo biedna kobieta, która nigdy nie zaznała radości dania z siebie, gdyż nawet drobiny nie miała do dania.

Dzwonek kościelny znowu się rozległ pomiędzy palmami. Domini usłyszała głosy prawie wyraźnie w dole pod arkadą. Była tam kawiarnia francuska, i dwóch czy trzech wojskowych zakąsywało tu przed obiadem na świeżem powietrzu. Mówili z sobą po francusku, jak ci, co na wygnaniu mówią o swym kraju. Głosy te naprowadziły ją znowu myślą na rekrutów, a ztąd—właśnie z ich powodu — na Matkę Boską Opiekuńczą, patrzącą ku Afryce. Stanęła jej w myśli tragedya jej ostatniej spowiedzi. Czy byłaby zdolną spowiadać się przed księdzem, którego spotkała w tunelu? Czy mogłaby się tu nauczyć poznać, czem była w istocie?

Jakże ciepła była ta noc! I jak to ciepło, które rozwija żyzność ziemi, rozwija także siły ukryte i możności w mężczyźnie i kobiecie! Pomimo zmęczenia ciała, które trzymało ją bez ruchu, jak posąg, na

fotelu, z ręką, leżącą wzdłuż poręczy werendy, Domini czuła, iż jakby splątany tłum rzeczy nieokreślonych, lecz gwałtownych, już ruszył w jej naturze, jak gdyby nowe to powietrze męży zbrojnych wołało do życia. Czyż nie słyszała szmeru ich głosów, szczęku dalekiego ich oręża?

Nie zdając sobie sprawy, poczęła upadać w sen. Zbudził ją odgłos kroków po drewnianej posadzce werendy. Były od niej w pewnej odległości. Przeszły przez werendę i zatrzymały się. Była prawie pewną, że są to kroki jej towarzysza podróży, nie — iż wiedziała, że stanął w tym hotelu, lecz raczej z racyi tej ciekawej, nierównej ciężkości jego chodu.

Co on tam może robić? Czy patrzy przez poręcz na ogród owocowy, gdzie białe postaci arabów snują się między drzewami?

Zachowywał się całkiem milcząco. Domini była teraz całkowicie obudzona. Błoga pogoda opuściła ją. Była teraz nerwowo podrażniona obecnością jego w pobliżu i szybko uprzytomniła sobie drobne wydarzenia dnia, które poczęły zarysowywać jego charakter. Wszystko tam było, znajdowała, niemiłem, wszystko, co najmniej, nikle nieprzyjemnem. Co to wszystko miało znaczyć w gruncie? Szkic, jaki te wydarzenia zakreśliły, był tak nikły, tak rozwiany, iż mówił mało. Ostatni wypadek był najdziwniejszy I znowu ujrzała świetlistą drogę tunelu, mieniącą się światłami i cieniami, usłaną blademi refleksami liści i gałęzi drzew, w oddali czarną postać księdza i wysoką postać cudzoziemca w postawie trwożnego zawahania. Za każdym razem widziała go, jak pragnął uczynić coś stanowczego, i wahanie zawsze ponadtem zawisło. W tem niezdecydowaniu było dla niej coś strasznego, coś bijącego na trwogę.

Pragnęła, by nie stał za nią— i zatarg jej urastał. Mogła teraz słyszeć głosy wojskowych w kawiarni. Może i on się im przysłuchiwał. Były teraz głośniejsze. Rozmawiający powstali ze swych miejc. Brzęk ostróg, kroki stóp — i głosy zamarły w oddali. Dzwonek znowu zadźwięczał. Gdy to się stało, Domini usłyszała ciężkie i nierówne kroki, pośpiesznie przechodzące przez werendę. A za chwilę potem gwałtowne otworzenie okna.

— Zuzanno!—zawołała.

Weszła panna służąca, ziewająca, z różnemi przyborami w dłoniach.

— Jestem, proszę pani.

— Nie zejdę dzisiaj na obiad do ogólnej sali. Powiedz, niech mi nakryją w moim saloniku.

— Dobrze, proszę pani.

— Czyś nie widziała, kto tam był teraz na werendzie?

Panna służąca obejrzała się podejrzliwie.

— Byłam w pani pokoju.

— Dobrze. Jak daleko ztąd do kościoła?

— Pani nie będzie się chyba trudziła z chodzeniem do kościoła. To nie jest obowiązkiem chodzić śród tych wszystkich arabów.

Domini uśmiechnęła się.

— Przyjechałam tu, żeby być z arabami, Zuzanno.

— Hotelowy z omnibusu mówił mi, że oni brudni i bardzo niebezpieczni. Noszą noże ze sobą, a ubranie ich pełne pcheł!

— Inaczej ich osądzisz jutro zadnia. Ne zapomnij o obiedzie.

— Powiem natychmiast, proszę pani.

Zuzanna zniknęła, stąpając, jak ci, co się boją zasadzki.

Po obiedzie Domini wyszła znowu na werendę. Był tam już Batucz. Miał obecnie na głowie śnieżno-biały turban i wyglądał, jak młody wysoki kapłan jakiegoś ozdobnego obrządku. Namawiał Domini, by poszła z nim na ulicę Ouled Nails zobaczyć oryginalne tańce Sahary. Lecz Domini odmówiła.

— Nie dzisiaj, Batucz. Pójdę do łóżka. Całe dwie nocy nie spałam.

— Ale i ja nie spałem, proszę pani. W nocy układam wiersze. Mój mózg wtedy żyje. Moje serce w ogniu.

— Tak, ale ja nie jestem poetką. Zresztą, pozostanę tu dłużej. Będzie jeszcze dużo wieczorów do oglądania tańców.

Poeta patrzał niezadowolony.

— Gentleman poszedł, — Hadi teraz czeka na niego u wejścia Ale Hadi zawsze ma stracha, kiedy idzie na ulicę tancerzy.

— A to czemu?

— Bo tam jest dziewczyna, która chce go zabić. Na imię jej Irena. Była wydalona na sześć miesięcy z Beni-Mora, ale znowu powróciła—i odtąd ciągle chce zabić Hadiego.

— Cóż on jej zrobił takiego?

— Nie chciał jej kochać. Tak, Hadi ma stracha, ale mimo to idzie z gentlemanem, ponieważ musi zarobić sobie na kupno kostyumu na święto Ramadanu. Ja także chcę kupić sobie nowy kostyum.

Spojrzał na Domini z dostojną potulnością. Wygląd jego u kolumny werendy był wspaniały. Na swój niebieski kaftan narzucił był cienki biały burnus, który spływał dokoła w klasycznych fałdach. Domini ledwo mogła wierzyć, że ta wspaniała istota domawia się o franka. Myśl ta przyszła jej do głowy, ale ją odrzuciła. Była jeszcze nowicyuszką w Afryce.

— Nie, tej nocy nie pójdę,— rzekła stanowczo.

— Dobranoc pani. Będę tu jutro zrana o siódmej. Zorza w ogrodzie gazel jest—jak płomienie Raju, i będzie mogła pani zobaczyć harcujących spahów na koniach, które są, jak—

— Tak wcześnie jutro nie wstanę.

Batucz przybrał wyraz tragicznie-korny i skierował się do wyjścia. Właśnie wtedy Zuzanna ukazała się w oknie balkonowem swego sypialnego pokoju. Drgnęła, ujrzawszy poetę, który odrzucił wtył burnus ze swych silnych ramion, i przystanęła, patrząc na niego. Oczy jej same się skierowały na tę część gołych łydek, która była widzialną ponad białemi, jak świeży śnieg, pończochami i wyraz lekko sentymentalny zmieszał się w nich z wyrazem pogardy i zgrozy.

Domini wstała ze swego fotela i wychyliła się przez poręcz. Smuga żółtego światła od drzwi wejściowych hotelu leżała wdół na białej drodze—i za chwilę ujrzała, jak dwie postaci wyszły z pod werendy i zatrzymały się na drodze. Jedną z nich był Hadi, drugą był cudzoziemiec. Cudzoziemiec zapalił zapałkę i probował zapalić cygaro, lecz nie udawało mu się to. Zapalił drugą zapałkę, potem trzecią, lecz cygaro wciąż nie chciało ciągnąć. Hadi patrzał na niego ze złośliwem zaciekawieniem.

— Może pan mnie pozwoli,— począł.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 6-go.

Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
63. *Zygmunt Bartkiewicz.*
Przywódca. *Stefan Krzywoszewski.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, №8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.